KLASYKA PRZYGODOWA

PODRÓŻE GULLIWERA

Komiks opracowany został na podstawie książki JONATHANA SWIFTA pt. „PODRÓŻE GULLIWERA W RÓŻNE KRAJE DALEKIE".

Adaptacja i scenariusz: **Stefan Weinfeld**
Opracowanie graficzne: **Zdzisław Byczek**

© Copyright by Wydawnictwo „Sport i Turystyka", Warszawa 1990

Wydawnictwo „Sport i Turystyka", Warszawa 1990
Wydanie I. Nakład 50 250 egz. Drukarnia: Lubelskie Zakł. Graf. Zam. 947/89

Nie będę nużył czytelnika opisem mojego dzieciństwa i młodości; dość powiedzieć, że po ukończeniu studiów medycznych i stosownej praktyce w tym zawodzie odbyłem liczne podróże morskie jako lekarz okrętowy.

W jednej z tych podróży, w roku 1699, już jako niespełna czterdziestoletni człowiek, przeżyłem katastrofę morską: okręt mój podczas burzy natrafił na skałę.

Z sześciu ludzi, którym udało się powierzyć swój los pospiesznie spuszczonej łodzi, ja jeden dopłynąłem do jakiegoś lądu. Znużony padłem na murawę i zasnąłem.

Gdy obudziłem się następnego dnia stwierdziłem, że nie mogę się podnieść. Moje nogi, ramiona i włosy były mocno przytwierdzone do ziemi... Słyszałem też wokół siebie liczne cienkie głosy, Poczułem coś żywego na piersi... Opuściłem wzrok i zauważyłem niewielkiego człowieczka. Poczułem też wielu innych, którzy wybrali się na spacer po moim ciele. Próbując się uwolnić rozerwałem cienkie więzy przytrzymujące lewą rękę. Szarpnąłem też gwałtownie głową... ale w tejże chwili ponad sto strzał wbiło się jak igły w moją lewą dłoń.

Znieruchomiałem więc, a stworzenia owe przestały mnie ostrzeliwać. Z pomostu wzniesionego u mego boku jakiś ich dygnitarz wygłosił do mnie przemówienie. Nie zrozumiałem ani słowa, ale włożyłem palce do ust dając mu znak, że dokucza mi głód.

Wydał więc rozkaz i po licznych drabinach przystawionych do mojego boku wspięło się ponad stu tubylców z koszami wyładowanymi mięsem i chlebem. Patrzyli z podziwem jak połykam w całości drobniutkie łopatki, combry, udźce, jak zjadam po trzy bochenki chleba na raz. Po wypiciu kilku beczek wina usnąłem twardo. Gdy się obudziłem, byłem już w drodze do stolicy.

Podczas snu bowiem uniesiono mnie i ułożono na specjalnie zbudowanej machinie...

... którą piętnaście setek najroślejszych koni pociągnęło do odległej o pół mili stolicy.

Na kwaterę dla mnie przeznaczono ogromną, starożytną, nie używaną już świątynię. Łańcuchem o długości około dwóch jardów przytwierdzono moją lewą nogę tak, że mogłem swobodnie poruszać się w półkolu przed świątynią i wpełzać do jej wnętrza.

Sam cesarz z cesarzową i całym dworem przybył, aby mnie oglądać. Dla bezpieczeństwa trzymał się oczywiście poza zasięgiem łańcucha, którym byłem przykuty. Chcąc mu się lepiej przyjrzeć położyłem się na boku tak, aby oko moje było na wysokości jego twarzy.

Po odejściu cesarza pozostałem pod silną strażą, która miała strzec mnie przed motłochem. Zuchwalcy ci wypuszczali w moim kierunku strzały, z których jedna omal nie ugodziła mnie w oko. Straż pojmała sześciu z nich i pchnęła w moim kierunku. Ku przerażeniu obecnych udałem, że mam zamiar pożreć wszystkich żywcem. Wkrótce jednak jednego z nich postawiłem na ziemi i puściłem wolno, następnie uczyniłem to samo z pozostałymi.

Wiadomość o moim postępku zyskała mi przychylność cesarza. Rozkazał, aby wsie wokół stolicy dostarczały codziennie dla moich potrzeb po sześć byków, czterdzieści owiec oraz odpowiednią ilość chleba i wina. Trzystu krawców miało mi uszyć szaty podobne do tych, jakie nosili krajowcy.

HEKINAH DEGUL.

BORACH MIVOLA.

Sześciu największych uczonych zaczęło mnie uczyć języka tego kraju — Liliputu.

Gdy tylko nauczyłem się trochę mówić po liliputiańsku, poprosiłem o zwrócenie mi wolności. Cesarz zażądał ode mnie, abym poddał się rewizji osobistej i oddał na przechowanie znalezione w kieszeniach przedmioty. Przystałem na to i włożyłem do kieszeni sześciu oficerów cesarskiej gwardii...

... Następnie, wraz z nimi, wyjąłem wszystkie znajdujące się tam przedmioty.

Moja łagodność i uprzejmość zyskały mi przychylność cesarza i zaufanie tubylców. Wiedzieli już, że nie muszą się mnie obawiać. Czasem, gdy kładłem się, kilku Liliputianów tańczyło na mojej dłoni...

Cesarz postanowił pokazać mi miejscowe zwyczaje ludowe. Najbardziej spodobały mi się tańce na linie... to znaczy na wysoko zawieszonej nitce. Zabawa ta uprawiana była przez osoby ubiegające się o godności na dworze. Kto podskoczył najwyżej i nie spadł, temu przyznawano urząd.

Moje wielokrotne prośby o zwrócenie mi wolności zostały w końcu uwzględnione, musiałem jednak przysiąc lojalność, posłuszeństwo i wierność tak, jak to czynią Liliputianie — ujmując lewą ręką prawą stopę i przytykając środkowym palcem prawej ręki do czubka głowy. Gdy tylko odzyskałem wolność poprosiłem cesarza o zgodę na zwiedzenie stolicy. Uzyskałem ją pod warunkiem, że nie wyrządzę krzywdy mieszkańcom i nie zniszczę budynków. Przeszedłem tedy nad wielką bramą w murze otaczającym miasto...

... i ruszyłem główną ulicą z największą ostrożnością, aby nie nadepnąć na jakiegoś przechodnia. Cesarz wydał przezornie zakaz opuszczania domów, toteż mieszkańcy chcąc obejrzeć „człowieka-górę" (tak mnie nazywano) tłumnie zapełnili okna strychów i dachy swoich domostw.

Cesarz życzył sobie, abym obejrzał jego pałac. Bałem się jednak uszkodzić mur, który go otaczał i dlatego najpierw z kilku drzew sporządziłem dwa stołki. Stojąc na jednym...

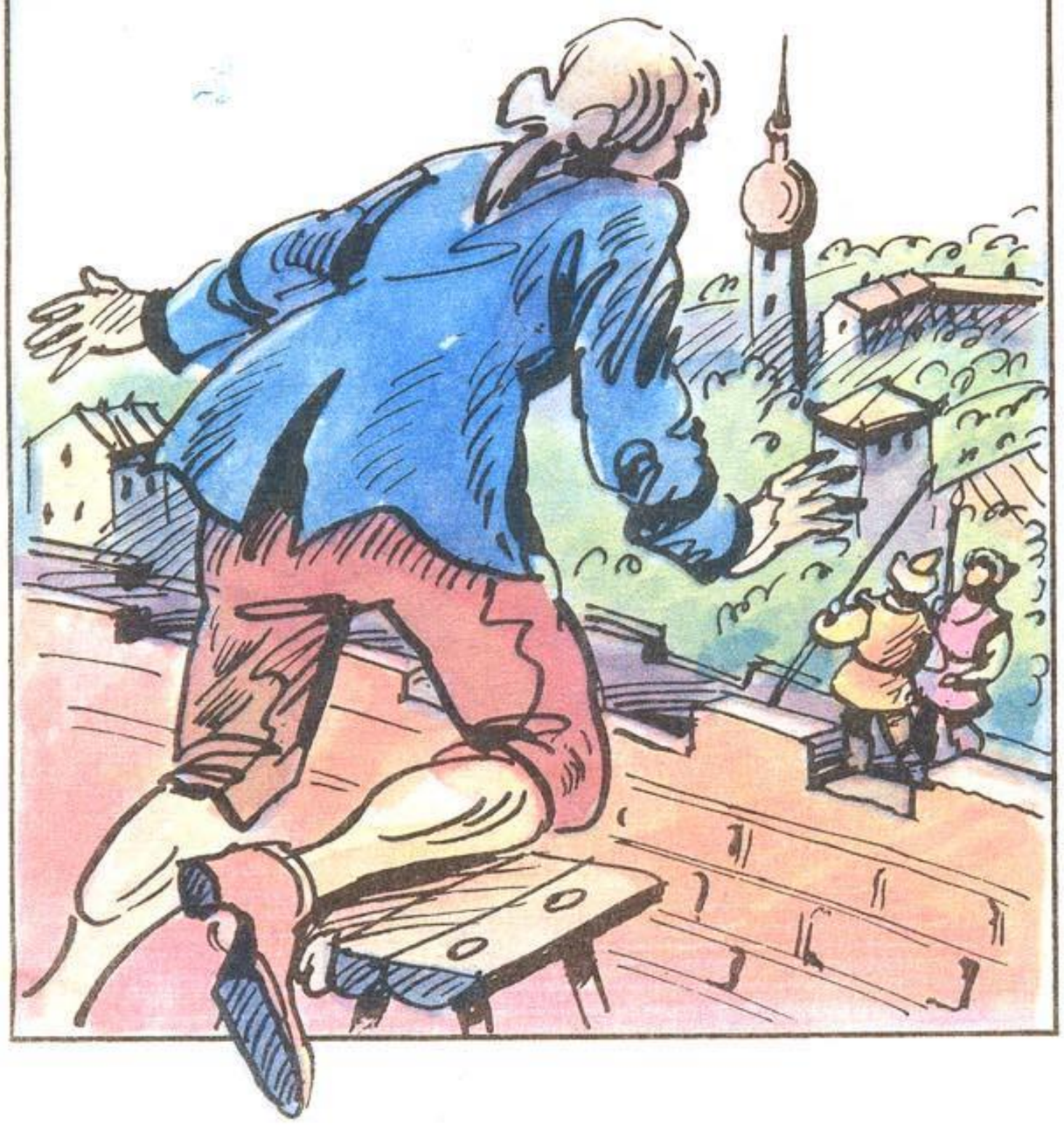

...drugi postawiłem na dziedzińcu pałacu i w ten sposób przekroczyłem mur nie czyniąc żadnej szkody.

Położyłem się na boku i przywarłem oczami do okien środkowego piętra, przez które zobaczyłem wspaniałe sale, a w nich cesarzową otoczoną dworem. Łaskawie podała mi przez okno dłoń do pocałowania.

CHCIAŁBYM CIĘ, CZŁOWIEKU-GÓRO, WPROWADZIĆ W POWAŻNE PROBLEMY NASZEGO KRAJU.

W jakiś czas po tej wycieczce złożył mi wizytę Główny Doradca Jego Majestatu.

Dowiedziałem się od niego, że w cesarstwie Liliputu zwalczały się zaciekle dwa stronnictwa — wysokich i niskich obcasów.

Krajowi groził ponadto najazd mieszkańców wyspy Blefuscu, będącej drugim potężnym cesarstwem Wszechświata. Przyczyną spodziewanej wojny miała być różnica poglądów na temat strony, z której rozbić należy skorupkę jajka przed jedzeniem.

Pomny złożonej przysięgi, wyraziłem gotowość pochwycenia floty nieprzyjacielskiej zagrażającej cesarstwu Liliputu. Jako Majestat wyraził na to zgodę. Dotarłem zatem do wybrzeża naprzeciw Blefuscu i tam, ukrywszy się za wzgórkiem, przy pomocy kieszonkowej lunety, obejrzałem zakotwiczoną flotę nieprzyjaciela.

Po powrocie zażądałem jak najgrubszych lin i jak najmocniejszych sztab żelaznych. Ze sztab skręconych po trzy uczyniłem haki i przywiązałem do nich liny. Z całym tym urządzeniem wszedłem do morza, dokładnie naprzeciw wyspy Blefuscu i...

...częściowo brodząc, częściowo zaś płynąc, dotarłem do floty nieprzyjaciela. Przerażeni marynarze rzucili się do wody płynąc ku brzegowi.

Pozaczepiałem haki do okrętów i poprzecinałem liny kotwiczne.

Następnie, wiążąc wszystkie liny w jeden węzeł, pociągnąłem flotę za sobą.

Gdym docierał już do portu Liliputu, dałem znać głośnym okrzykiem żem cały i zwycięski.

NIECH ŻYJE NAJPOTĘŻNIEJSZY CESARZ LILIPUTU!

ZA ZASŁUGI DLA OBRONNOŚCI KRAJU RZECZONY QUINBUS FLESTRIN, CZŁOWIEK-GÓRA, OTRZYMUJE GODNOŚĆ NARDACA.

Władca czekał na mnie na brzegu. Za mój wyczyn nadał mi najwyższą godność honorową.

Cesarstwo Liliputu nie potrzebowało się już bać najazdu. Władca wszakże życzył sobie, abym raz jeszcze wyprawił się do Blefuscu i przyprowadził wszystkie pozostałe okręty nieprzyjaciela. Chciał w ten sposób przemienić całe cesarstwo w prowincję Liliputu. Odmówiłem. Nie chciałem dzielnego ludu wpędzać w niewolę.

PROSZĘ PRZEKAZAĆ JEGO MAJESTATOWI WYRAZY ŻALU, ALE NIE MOGĘ SIĘ PODJĄĆ TEGO ZADANIA.

W trzy tygodnie później przybyło do stolicy poselstwo Blefuscu, a dowiedziawszy się potajemnie o mojej przyjaznej dla nich postawie, główny poseł zaprosił mnie do złożenia wizyty w jego kraju. Cesarz, acz niechętnie, wyraził na to zgodę.

Zdarzyło się wkrótce potem, że na skutek zaprószenia ognia pałac cesarski zaczął płonąć. Ogień był zbyt gwałtowny, aby Liliputianie mogli go ugasić wodą wylewaną z wiader o wielkości naparstka.

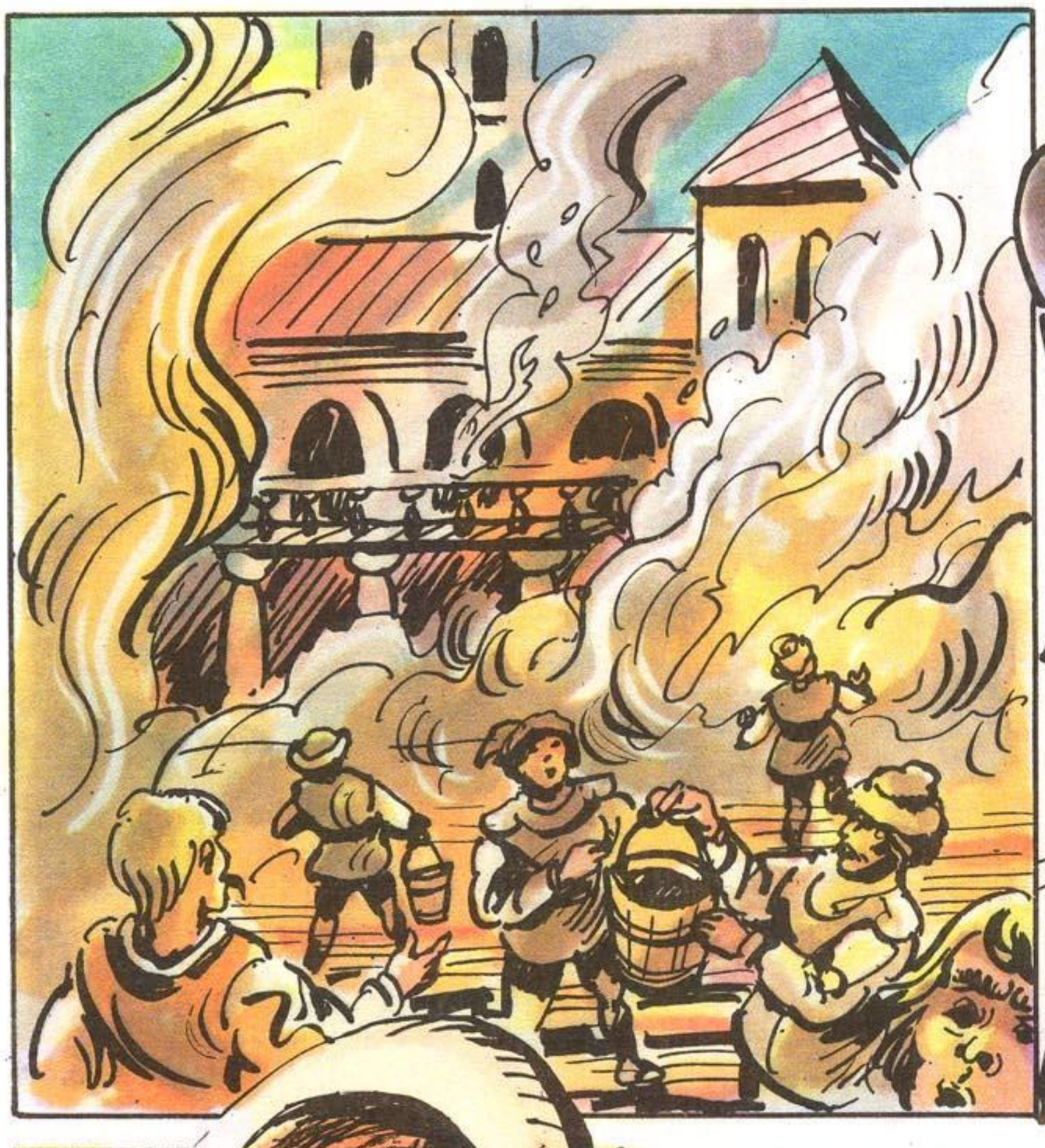

Udało mi się wprawdzie ugasić pożar i ocalić pałac od całkowitego zniszczenia, ale cesarzowa uznała, żem uczynił to w sposób niegodny. Od tej pory przestałem być u niej w łaskach.

Pewnego dnia potajemnie przybył do mnie zaprzyjaźniony dostojnik, aby przekazać mi wiadomość przeznaczoną wyłącznie dla moich uszu. Otóż niechętni mi w Radzie Cesarstwa przekonali władcę, że sprzyjam Blefuscutianom, że obraziłem cesarzową i że utrzymanie moje drogo kosztuje. Postanowiono więc mnie unieszkodliwić.

Dowiedziawszy się o tym postanowiłem czym prędzej udać się do Blefuscu pod pozorem złożenia wizyty, na którą miałem przecież pozwolenie. Pochwyciłem duży okręt wojenny, złożyłem na nim ubranie i ruszyłem przez cieśninę.

W porcie Blefuscu oczekiwał mnie już miejscowy lud, a dwóch przewodników — których niosłem w dłoniach — zaprowadziło mnie do stolicy. Gdy znaleźliśmy się w odległości dwustu jardów od bramy miejskiej poprosiłem ich, aby powiadomili Majestat o moim przybyciu i przekazali, że czekam na jego rozkazy.

Po jakimś czasie umyślny posłaniec przekazał mi wiadomość, że sam cesarz w otoczeniu rodziny i dostojników przybywa, aby mnie powitać.

Położyłem się na ziemi. Cesarz i dostojnicy zeskoczyli z koni, cesarzowa i damy dworu opuściły karety. Złożyłem wyrazy uszanowania. Nie wspomniałem jednak nic o niełasce, w jaką popadłem w państwie Liliputu.

W trzy dni po przybyciu do Blefuscu, gdy zwiedzałem wyspę, dostrzegłem na morzu w pewnej odległości od brzegu coś podobnego do przewróconej łodzi. Ściągnąłem buty i pończochy i wszedłem do wody...

Przeszedłem ze dwieście jardów i upewniłem się, że ów przedmiot, pchany falami w moim kierunku, był w istocie przewróconą szalupą. Zapewne burza zmyła ją z pokładu jakiegoś statku.

Powróciłem czym prędzej do miasta i poprosiłem Jego Majestat o oddanie mi do dyspozycji dwudziestu okrętów. I tak wspólnymi siłami, ja płynąc za szalupą i pchając ją, okręty zaś holując pod pełnymi żaglami...

... doprowadziliśmy w końcu do tego, że łódź spoczęła na piaszczystym dnie płytkiej przybrzeżnej zatoki.

Gdy podczas odpływu — z pomocą dwóch tysięcy tubylców zaopatrzonych w sznury i inne urządzenia — udało mi się ją przewrócić...

...stwierdziłem, że jest w bardzo dobrym stanie.

Dużym nakładem pracy wykonałem wiosła, a następnie doprowadziłem łódź do portu Blefuscu. Tu ogromne tłumy podziwiały ten okręt o niewidzianych dotąd rozmiarach.

Poprosiłem Jego Majestat o pozwolenie na zgromadzenie materiałów, aby łódź doprowadzić do porządku i uzyskałem na to zgodę. W tym czasie wszakże przybyło poselstwo od cesarza Liliputu z żądaniem, aby jako zdrajcę odesłać mnie tam zakutego w kajdany.

Cesarz Blefuscu w najuprzejmiejszych słowach odpowiedział jednak, że zakucie człowieka-góry w kajdany nie jest możliwe. Wszakże obaj z cesarzem Liliputu pozbędą się wkrótce uciążliwego gościa. Wynalazł on na morzu ogromny okręt i niebawem odpłynie w dal. Istotnie, osadzałem już żagle zszyte przez 500 robotników...

...ładowałem zapasy żywności: tusze stu wołów i trzystu owiec, odpowiednią ilość chleba i napojów, a także kilka żywych krów i byków oraz owiec i baranów.

Wreszcie, 24 września 1701 roku o szóstej rano, podniosłem żagle i wypłynąłem na morze. Po trzech dniach żeglowania ujrzałem z dala okręt. Spostrzeżono mnie i wzięto na pokład.

Kapitan zrazu nie wierzył moim opowieściom. Dopiero kiedy wyjąłem moje bydło i owce, zdumiał się wielce. Po udanej podróży powróciłem wreszcie do Anglii.

Za sprzedane miniaturowe bydło i trzodę otrzymałem sporo pieniędzy i kupiłem ładny dom. Moje nienasycone pragnienie podróży nie pozwoliło mi jednak długo bawić przy rodzinie. Zabezpieczyłem żonę materialnie, pożegnałem się i znowu ruszyłem na morze.

Podróż przebiegała początkowo pomyślnie, ale za cieśniną w pobliżu Madagaskaru potężna burza i silny wiatr zepchnęły nas tak daleko, że nikt na pokładzie nie wiedział gdzie naprawdę jesteśmy.

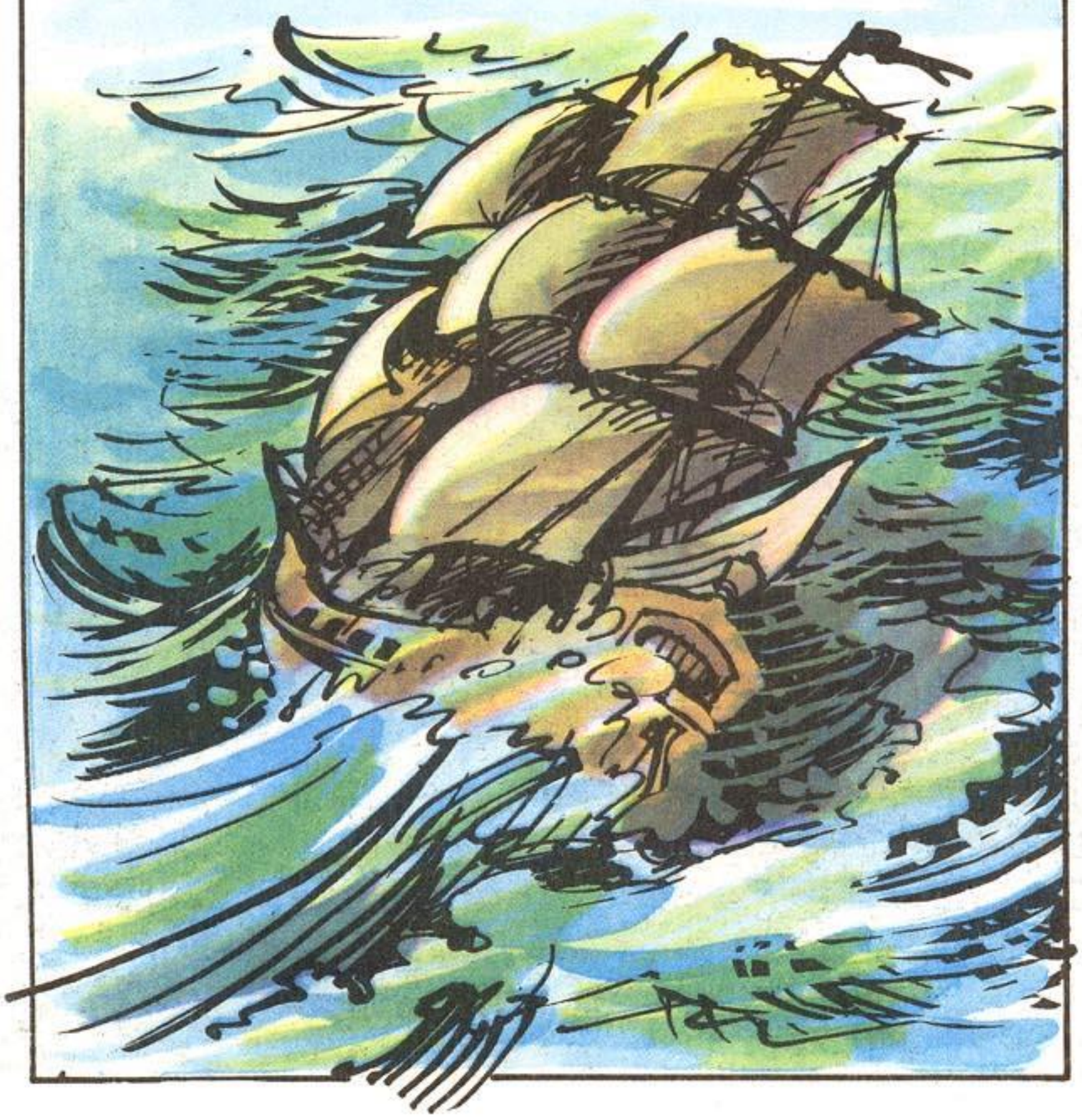

W kilka dni później oczom naszym ukazał się ląd. Zatoczka była zbyt płytka, aby można było wprowadzić tam okręt. A że brakowało nam wody pitnej, kapitan wysłał szalupę z tuzinem ludzi na poszukiwanie słodkiej wody. Przyłączyłem się do nich.

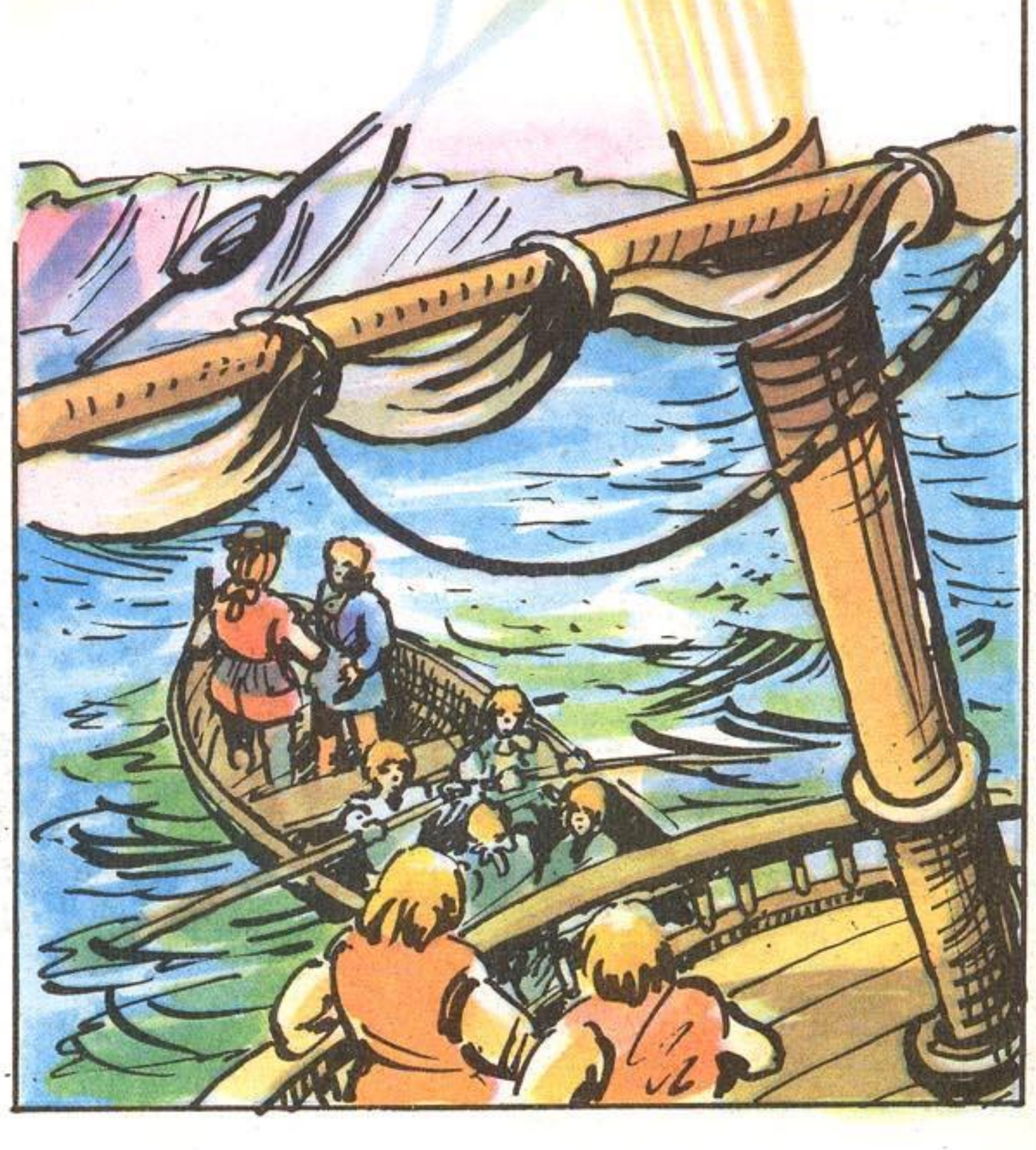

Marynarze poszli wzdłuż wybrzeża, ja zaś udałem się w przeciwną stronę na samotną przechadzkę. Nie znalazłem jednak niczego ciekawego, wróciłem więc i zobaczyłem naszych ludzi w szalupie. Wiosłowali rozpaczliwie ku okrętowi. Za nimi kroczył jakiś olbrzym.

Nagle zauważyłem jednego z tubylców idącego w moim kierunku. Był wysoki jak wieża kościelna. Przerażony próbowałem ukryć się w łanie ogromnego jęczmienia, częściowo położonego przez wiatr i deszcz. Zagrzmiał głos donośny jak grom. To ów olbrzym wołał innych tubylców. Z sierpami w rękach ruszyli, by ścinać jęczmień na polu, gdzie byłem ukryty.

Jeden z żeńców zbliżył się do mnie na taką odległość, że groziło mi rozdeptanie butem lub przecięcie sierpem. Wrzasnąłem tak głośno, jak potrafi tylko człowiek w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Olbrzym usłyszał mój krzyk, cofnął nogę, rozejrzał się i dostrzegł mnie leżącego na ziemi. Ostrożnie uchwycił mnie dwoma palcami i przybliżył do oczu, aby mi się przyjrzeć.

Parobek ów zaniósł mnie swojemu panu. Ten zwołał innych parobków. Oglądali mnie wszyscy jak wielką osobliwość. Gestami i słowem starałem się upewnić ich, że nie chcę uciekać. Gdy pojęli wreszcie, że jestem stworzeniem rozumnym, pan zawinął mnie w chustkę do nosa i zabrał by pokazać swojej żonie.

MIAUU!

Była akurat pora posiłku, więc postawiono mnie na stole, gdzie podziwiała mnie cała rodzina. W pewnej chwili usłyszałem za sobą potworny ryk. Obejrzałem się. To pani głaskała kota, który wskoczył jej na kolana. Wydawał mi się trzykrotnie większy od wołu.

PUUŚĆ !!!

Roczne dziecko mojej pani uznało mnie za doskonałą zabawkę. Kiedy matka uniosła mnie, ono chwyciło mnie wpół i całą moją głowę wsadziło sobie do ust. Ryknąłem, dzięki czemu przestraszone niemowlę puściło mnie. Na szczęście upadłem na fartuch gospodyni.

GRILDRIG!

ROZUMIEM... TO MAM BYĆ JA, TO ZNACZY „CZŁOWIECZEK".

Po posiłku pani położyła mnie na swoim łóżku — szerokim na dwadzieścia jardów — i przykryła chusteczką większą od żagla. Usnąłem i obudziłem się akurat wtedy, gdy dwa szczury wspięły się po kapie na łóżko i natarły na mnie z dwóch stron. Jednego z nich udało mi się powalić rapierem, drugi — ranny — uciekł.

Pani oddała mnie pod opiekę dziewięcioletniej córce, która troskliwie się mną zajęła. Urządziła mi łóżko z kołyski lalki, uszyła kilka ubrań, a także nauczyła niektórych słów w swoim języku.

Jeden z sąsiadów podpowiedział mojemu panu, że mógłby sporo zarobić pokazując mnie za opłatą w dni targowe. Ten, idąc za tą radą, zawiózł mnie następnego dnia do sąsiedniego miasteczka i najął pokój w tamtejszej gospodzie. Stojąc na stole, demonstrowałem widzom różne sztuczki.

W końcu kupiono mnie od chłopa i zatrudniono też jego małą córkę jako moją opiekunkę. Trzej nadworni uczeni zbadali mnie bardzo dokładnie i zgodnie stwierdzili, że muszę być igraszką natury, skoro przy mojej budowie ciała i tak małych rozmiarach mogę utrzymać się przy życiu.

Przewidując dobry zarobek, pan zawiózł mnie w końcu do stolicy. Wieść o mnie szybko się tu rozeszła. Rozkazano więc mojemu panu, by pokazał mnie królowej. Rozmawiałem z nią, na ile pozwalał mi opanowany już zasób słów. Dostąpiłem nawet zaszczytu ucałowania koniuszka jej palca.

Stolarz królewski wykonał dla mnie drewniane pudełko z miniaturowymi meblami. Wierzch pudła dawał się unosić i opuszczać, przeto moja piastunka wyjmowała mnie i wkładała do tej izby przez sufit.

Królowa tak upodobała sobie moje towarzystwo, że asystowałem jej stale przy posiłkach. Stawiano wtedy na stół mój mały stolik i krzesło oraz podawano srebrną zastawę specjalnie dla mnie wykonaną.

Mimo troskliwej opieki, czyhało tu stale na mnie wiele niebezpieczeństw. Pewnego ranka, gdy piastunka postawiła mój dom na oknie, ja zaś zasiadłem do słodkiego ciasta, około dwudziestu os zwabionych jego zapachem wleciało do pokoju. Zabiłem cztery, a pozostałe odleciały.

Innego dnia, gdy moja opiekunka zaniosła mnie do ogrodu i tam postawiła na chwilę na murawie, wywęszył mnie mały piesek. Chwycił w pysk i złożył u stóp swojego pana, ogrodnika. Na szczęście wyszedłem z tej przygody bez szwanku.

Podczas owych przechadzek po parku często miewałem zatargi z drobnymi ptakami. Pewnego dnia powaliłem makolągwę uderzeniem grubej pałki. Ptak, początkowo ogłuszony, zadał mi jednak tyle ciosów uderzeniami skrzydeł, że dopiero jeden ze służących wyratował mnie z opresji.

Niedbały służący dopuścił jednak, aby do koryta dostała się żaba. Pragnąc żeglować wraz ze mną o mało nie zatopiła mojej łodzi, ale dzielnie walcząc wiosłem zmusiłem ją do opuszczenia pokładu.

Królowa, która często słuchała opowieści o moich wędrówkach, poleciła zdolnemu cieśli wykonanie łodzi według moich projektów. Odtąd wiosłowałem w specjalnym korycie. Czasami, gdy delikatne ruchy wachlarzy dam dworu dostarczały mi wiatru, podnosiłem żagiel.

Pewnego dnia opiekunka pozostawiła moją izbę na parapecie otwartego okna sypialni. Było gorąco więc i ja otworzyłem okno pudła. Nagle coś wskoczyło do sypialni. Po chwili zaś ujrzałem w oknie mojego domku ogromny przeraźliwy pysk. Była to małpka jednego z dworskich kucharzy.

Dojrzała mnie, wsunęła łapę, uchwyciła mnie mocno i wyciągnęła z mojego schronienia.

Uznała mnie widocznie za małpie dziecko, bo zaczęła głaskać mnie po twarzy. A kiedy jej się opierałem — wymierzyła mi klapsa.

Wejście do sypialni mojej opiekunki spłoszyło małpkę, która — wciąż trzymając mnie w łapie — wspięła się po rynnie na dach domu.

Tam poczęła mnie karmić wpychając na siłę żarcie, które przechowywała w swym pyszczku. Dostrzeżono to. Zbiegły się setki tubylców, służba pobiegła po drabiny. Kilka osób wspięło się na nie i ...

... przestraszona małpa uciekła. Ja zostałem na dachu — pięćset jardów nad ziemią. Czekałem tylko chwili, że zdmuchnie mnie stamtąd wiatr, ale na szczęście wyratował mnie pewien chłopak. Wsunął mnie do kieszeni portek i powrócił ze mną bezpiecznie na ziemię.

Król był łaskaw udzielić mi kilku audiencji wypytując o ustrój i stosunki w Anglii. Uznał, że kraj mój ma liczne wady, a jego mieszkańcy są złośliwi i nikczemni. Ja natomiast, by poznać prawa kraju Brobdingnag, w którym przebywałem, począłem studiować książki z królewskiej biblioteki. W tym celu stolarz sporządził mi specjalną drabinę.

Po przybyciu na miejsce zapragnąłem spojrzeć na ocean. Ponieważ moja opiekunka czuła się zmęczona, czuwanie nad moim bezpieczeństwem powierzono paziowi. Ten jednak postawił moje pudło podróżne na ziemi, a sam wspiął się na nadmorską skałę.

Po dwóch latach mojego pobytu na wyspie, król i królowa wybrali się ku południowemu wybrzeżu. Towarzyszyłem im wraz z moją opiekunką. Wieziono mnie w pudle podróżnym — wygodnej i sporej izdebce z hamakiem podwieszonym do sufitu.

CZEMU SIĘ TAM WDRAPUJE? Z PEWNOŚCIĄ SZUKA PTASICH GNIAZD...

Nagły wstrząs rzucił mnie na ścianę. Coś uniosło moją izdebkę wysoko w powietrze. Usłyszałem głośny szum. Przez okno dostrzegłem jedynie niebo i chmury.

Po jakimś czasie względnego spokoju szum wzrósł gwałtownie, a pudło zaczęło unosić się i opadać.

Pojąłem wreszcie co się stało. To orzeł porwał w powietrze moje pudło. Z pewnością miał zamiar upuścić je na skały. Tak czynią te ptaki np. z żółwiami, gdy chcą rozłupać ich skorupy, by później je pożreć.

Orła lecącego z moim pudłem musiały jednak zaatakować dwa lub trzy inne ptaki. Wywiązała się walka. Po chwili poczułem jak izdebka moja raptownie spada w dół.

Usłyszałem straszliwy plusk, później na chwilę nastała ciemność i wreszcie — u szczytu okien — pojawiło się światło. Znalazłem się w morzu, a izdebka moja — obciążona żelaznymi okuciami — pogrążyła się na sześć stóp w wodzie.

Niestety, pokrywa pudełka była zbyt ciężka, abym mógł ją podnieść i wydobyć się na zewnątrz. Chwyciłem jednak ruchomą deszczułkę służącą do wentylacji. Nie groziło mi już uduszenie. Zauważyłem wszakże, mimo dobrego dopasowania spojenia.:.

... niewielkie przecieki wody. Rzuciłem się czym prędzej, aby je zatamować. Gdyby wszakże silniejsza fala wybiła szybę — na szczęście zabezpieczoną od zewnątrz siatką — nic by mnie nie mogło uratować.

Po kilku godzinach usłyszałem jakiś zgrzyt po stronie, gdzie znajdowały się zewnętrzne klamry, a potem wydało mi się, że izdebkę coś holuje po powierzchni morza.

POMOCY! HELP! HILFE!

Stanąłem na stole pod otworem w dachu. Tam, gdzie odchyliłem ruchomą deszczułkę. Jąłem wzywać pomocy we wszystkich znanych mi językach.

JEŚLI JEST TAM KTO, NIECH SIĘ ODEZWIE!

Jakoż usłyszałem stąpanie nad głową i ktoś odezwał się po angielsku. Poprosiłem, aby wsadził palec w pierścień u góry i wydobył pudło na pokład... Usłyszałem śmiech. Wzięto mnie najprawdopodobniej za szaleńca.

Gdy znalazłem się wreszcie na zewnątrz, zrozumiałem przyczynę tego śmiechu. Wyłowił mnie z morza statek angielski, którego marynarze byli ludźmi takiego samego, co i ja wzrostu. A cieśla musiał wypiłować dziurę w pokrywie pudła, abym się mógł z niego wydostać.

Kapitan opowiedział mi później w jaki sposób mnie odnaleziono. Gdy spostrzegł unoszony przez fale dziwny obiekt, wysłał w jego kierunku szalupę. Ludzie wrócili jednak strwożeni mówiąc, że to pływający dom. Popłynął więc sam, a gdy przekonał się, że marynarze mieli rację, kazał przyholować pudło w kierunku okrętu.

Próbowano wyciągnąć skrzynię na pokład, ale była tak ciężka, że cała załoga nie zdołała jej unieść.

NIE UDA SIĘ WCIĄGNĄĆ TEGO NA POKŁAD, KAPITANIE. ZA CIĘŻKIE!

KTOŚ TAM JEST!

POMOCY!!! HELP!...

Wtedy właśnie usłyszano moje wołanie o pomoc.

Kapitan dziwił się niepomiernie, jak się tam dostałem. Musiałem więc opowiedzieć mu swoje przygody. Nie wierzył mi. Dopiero kiedy marynarze przynieśli z pudła kufer...

... i pokazałem mu mój mały zbiór osobliwości — uwierzył. Były tam żądła os duże jak ciesielskie gwoździe, darowany mi przez królową złoty pierścień, który mogłem przełożyć przez głowę, a także inne pamiątki.

TAK, MĄŻ WRÓCIŁ MOJA PANI, ALE NIESPEŁNA ROZUMU., TAK TO JEST, JAK KTOŚ BEZ POTRZEBY PO ŚWIECIE SIĘ WŁÓCZY. JUŻ GO NIGDY W ŻADNĄ PODRÓŻ NIE PUSZCZĘ.

Żona powitała mnie z ogromną radością, ale — gdy opowiedziałem jej o swych przygodach — i z wielkim pomieszaniem. Orzekła, żem odszedł od zmysłów i że zdrowiej by dla mnie było, gdybym nie wychylał nosa poza własne opłotki. Ale ja twierdzę, że kto nie wie, jak jest w obcych krajach, w swoim własnym nie potrafi docenić tego, co dobre — i poznać się na tym, co złe.

W 1726 r., kiedy ukazała się w Anglii książka zatytułowana „PODRÓŻE GULLIWERA W RÓŻNE KRAJE DALEKIE", na globusach i mapach świata rysowano ogromny i nieznany ląd okołoziemski, który miał się znajdować na południe od dotychczas zbadanych wód. Zapewne więc wielu czytelników tej książki uwierzyło, że niejaki Lemuel Gulliwer — „lekarz okrętowy, a następnie kapitan licznych okrętów" — zapędziwszy się w nieznane okolice dostał się naprawdę do krajów zamieszkanych przez dziwne i przez nikogo dotąd nie widziane stworzenia. Dlaczego mieliby w to wątpić, skoro wiadomo już było, że oprócz ludzi o białym kolorze skóry, Ziemię zamieszkują ludzie o skórze żółtej, czarnej i czerwonej.

Autor książki, JONATHAN SWIFT, miał jednak powody, by przesłać rękopis do wydawcy ukrywając się pod przybranym nazwiskiem Richarda Sympsona. Swift dobiegał wówczas sześćdziesiątki (urodził się w roku 1667 — zmarł w 1745), był duchownym (dziekanem katedry Św. Patryka w Dublinie) i autorem ostrych pamfletów — utworów demaskujących i ośmieszających różne strony ówczesnych stosunków politycznych i społecznych. Przezornie publikował je anonimowo, świadom tego, że może narazić się nimi partii rządzącej (istotnie — wyznaczono nagrodę za wykrycie ich autora). Miał też podstawy, aby obawiać się represji za „Podróże Gulliwera". Opisując stosunki w owych fantastycznych krainach szydził przecież z mechanizmów, które stawały się przyczynami napięć i kłótni wewnątrz kraju („niskie" i „wysokie" obcasy), a nawet pchały do wojny sąsiadujące ze sobą narody (spór o to, z którego końca należy stłuc jajko przed zjedzeniem). W usta króla Brobdingnag — któremu Lemuel Gulliwer opowiada o sprawach swojej ojczyzny (czyli Anglii) — włożył Swift opinię, że jest to „zlepek spisków, buntów, morderstw, rzezi, rewolucji, wygnań, słowem wszystkich najgorszych skutków, jakie chciwość, sprzysiężenie, dwulicowość, wiarołomstwo, okrucieństwo, wściekłość, szaleństwo, nienawiść, zawiść, żądza, złość i pycha mogą stworzyć" (przekład Macieja Słomczyńskiego).

„Podróże Gulliwera" spotkały się oczywiście z krytyką, ale jednocześnie odniosły ogromny sukces wydawniczy — i to taki, o jakim autor tego dzieła zapewne nie marzył. Oprócz bowiem pełnych wydań „Podróży", pełnych gorzkich uwag odnoszących się do współczesnego Swiftowi świata i ponurych refleksji nad ułomnością natury ludzkiej, pojawiły się liczne przeróbki tej powieści przeznaczone dla młodzieży. Pomysły Swifta są doprawdy fantastyczne i niezmiernie ciekawe. Mamy nadzieję, że takim okaże się też i ten komiks. Oby się Wam podobał.

Za kilka lub kilkanaście lat sięgnijcie jednak po książkę — po pełne wydanie „Podróży" składające się z czterech części (przeróbki dla młodzieży, tak jak i ten komiks, ograniczone są do pierwszych dwóch części). Znajdziecie tam wiele problemów, które warto samemu przemyśleć.